



Mirosław Derecki (M.D.)

EKRAN I WIDZ: BAŚŃ Z PRZYSZŁOŚCI DLA AMERYKANÓW (I EUROPEJCZYKÓW)

Wreszcie i na nas wylała się czara fantazji „Gwiezdných wojen” George Lucasa; ów barwny, szerokoekranowy, zrealizowany dźwiękowym systemem Dolby wytwór amerykańskiej pop-kultury, film dystansujący się wobec niej, dzieło nakręcone wspólnym wysiłkiem dziewięćsetosobowej ekipy artystycznej i technicznej, kosztem dwunastu milionów dolarów.

Reklama już rusza do boju informując, że w samych tylko Stanach Zjednoczonych film opłacił się dziesięciokrotnie, że zdjęcia kręcono na pograniczu Sahary, że wykorzystano wulkaniczne kratery w pobliżu Nefty i jaskinie troglodytów w Matmata; inne znowuż plenery filmowane były w Gwatemali i w Dolinie Śmierci w Górach Skalistych, zaś zdjęcia trickowe „realizowano w halach Elstree w Londynie, w ciągu piętnastu tygodni, po czym materiał poddany został dalszej, trwającej przeszło rok, obróbce w Hollywood”.

To oszałamia, zaiste, nie mniej niż rajdy kosmiczne pokazane w „Gwiezdných wojnach”, niż złowroga technika Gwiazdy Śmierci czy też przechodzenie w „nadprzestrzeń” przez kosmiczny statek nieustraszonego przemytnika Hana Solo, który pomaga głównemu bohaterowi, Luke Skywalkerowi w uwolnieniu księżniczki Lai Organa - uwięzionej przez złych przedstawicieli Imperium Galaktyki. Ponieważ jednak piszący te słowa wie raczej niewiele - przyznaje to ze skrucą - zarówno na temat jaskiń troglodytów w Matmata jak i (mimo niezłej znajomości Londynu) zdjęciowych hal Elstree nigdy na oczy nie widział, lepiej może będzie się zająć w niniejszym felietonie problemami innej natury.

Mówi się o fenomenie socjologicznym, jakim stało się olbrzymie zainteresowanie amerykańskiej publiczności „Gwiezdnymi wojnami”. Film przyniósł w niedługim czasie wpływy wynoszące 122 miliony dolarów, był kasowym rekordem prześcigając słynne „Szczęki” Stevena Spielberga, na dodatek stały się jeszcze niezwykle modne wszelkie gadgety, zegarki, stroje, podkoszulki „a la Gwiezdne wojny”. Jednym słowem - George Lucas podbił Stany Zjednoczone. W Europie „Gwiezdne wojny” nie zrobiły aż tak oszałamiającej kariery, chociaż są sukcesem kasowym. A złożyło się na to szereg przyczyn.

Po pierwsze, film Lucasa nie trafił tutaj, tak jak stało się to w USA, na szczególnie podatny grunt, więcej – na swoiste zapotrzebowanie społeczne, wynikające z pewnego przesytu amerykańskiego widza falą filmów krytycznych wobec amerykańskiej teraźniejszości, lub filmów nasyconych brutalnością, gwałtem, okrucieństwem. Oczywiście – brutalności, przemocy, w „Gwiezdnym Wojnach” nie brakuje. Ale wszystko, co dzieje się na ekranie, odnosi się tutaj do dalekiej, mało realnej, baśniowej przyszłości, gdzieś w galaktycznej przestrzeni. Fikcję „Gwiezdnym wojen” można by raczej porównywać do literackiej twórczości typu „fantasty” uprawionej przez Raya Bradbury'ego („Człowiek ilustrowany”) lub niektórych opowieści Stanisława Lema o podróżach Ijona Tichy'ego - niż do odwołującej się do przewidywań nauki literatury „science-fiction”. Są przy tym „Gwiezdne wojny” swoistą galaktyczną komedią a jej baśniowy, radosny optymizm doskonale pasuje do tego, na co czekała amerykańska publiczność.

Europejczycy widzą w filmie Lucasa oszałamiającą technikę, bawią się przygodami pary bohaterów filmu: humanoidalnego, złotego robota-poligloty See Treepio oraz małego cybernetycznego R2D2. I oni również odczuwają ową falę ciepła i życzliwości emanującą z ekranu; „Gwiezdne wojny” są wszak na swój sposób filmem wysoce optymistycznym. Kosmos nie jawi się tutaj, jako przerażająca zagadkowość pełna ponurych niebezpieczeństw czyhających na człowieka; nic tu z filozofii filmowej „Odysei kosmicznej” Stanleya Kubricka. Kosmos i człowiek tworzą u Lucasa spójną, uzupełniającą się wzajemnie całość, oczywistą i naturalną. Nietrudne są dla widza ze wschodniego wybrzeża Atlantyku do odczytania satyryczne akcenty „Gwiezdnym wojen”, ich pastiszowy charakter wobec poetyki westernu, filmu wojennego czy też kina amerykańskiego lat trzydziestych, łatwo akceptujemy stawianą przez reżysera propozycję wspólnej zabawy nie odwołującej się do zbytnej logiki i filozofii. Zauważamy również, że „Gwiezdne wojny” mają specyficzny, komiksowy charakter...

I tu też zaczynają się rozbieżności pomiędzy percepcją filmowej baśni z przyszłości: przez Amerykanów i przez Europejczyków. Amerykanie odbierają „Gwiezdne wojny” również w aspekcie „semantycznym”: każda sytuacja, gest, kwestia słowna, detal plastyczny, forma scenograficzna, mają odniesienie do zakodowanego w ich podświadomości znaku, charakterystycznego dla komiksowej literatury, jej sposobu widzenia świata, reagowania na otaczającą rzeczywistość lub stylu przetwarzania tej rzeczywistości. Komiks ma swoich bohaterów, swoje typy osobowe oraz swoje stereotypy. Komiksu nie musi się rozumieć, trzeba go czuć. A mogą go chyba naprawdę czuć tylko Amerykanie, wyrosli w „kulturze” komiksu. To trochę jak z kinematografią indyjską, o której niedawno pisał w „Filmie” Oskar Sobański: w pewnej chwili stajemy bezradni wobec jej indyjskości, wobec znaczeń, odniesień

i metafor, których nie pojmujemy i nie znamy bo... nie urodziliśmy się na tym azjatyckim subkontynencie.

Albo baśniowość „Gwiezdných wojen”: ileż tu odniesień do znanej amerykańskiej opowieści dla dzieci o Czarodzieju z Oz - o dziewczynce imieniem Dorothy, która trafiła w świat baśni i spotkała tam Blaszanego Człowieka, Lwa, dobrą wróżkę i podróżowała wraz z nimi w (ziemskiej) przestrzeni i w czasie? W latach trzydziestych Amerykanie nakręcili „Czarodzieja z Oz”. Dorothy grała słynna Judy Garland: jej postać przywodzi na myśl w filmie Lucasa księżniczka Leia, złoty robot See Threepio jako żywo przypomina Blaszanego Człowieka, człowiek - małpa Chewbacca z planety Wokkie, kojarzy się z baśniowym Lwem... Ale kto z nas zna baśń o Czarodzieju z Oz? My znamy bajkę o Jasiu i Małgosi, o Czerwonym Kapturku. Komu z nas, Europejczyków, przyniesie znak Czarodzieja z Oz tak wiele, tak silnych nostalgicznych wzruszeń? Albo komu z nas przemówi do przekonania sprawa „Mocy” duchowej zaczerpnięta z filozofii Zen, tak silnie wyeksponowana w „Gwiezdných wojnach”, i znajdująca dzisiaj entuzjastów wśród niektórych Amerykanów?

Mimo to, szczerze radzę, idźcie na „Gwiezdne wojny” i bawcie się dobrze. Mimo wszelkich niedoskonałości naszej europejskiej percepcji - a może właśnie dlatego - na prawdę warto!

Pierwodruk: „Kamena”, 1979, nr 8, s.14.